

Fryderyk Mauzens.

# Z BAGNA PARYZA

13

Przypominał sobie teraz swą dawną radość na myśl, że skromnej nauczycielce da miłość, poważanie i rozkosz. Tak przyjemną mu była myśl, że ukochana jemu wszystko będzie zawdzięczała. A teraz biedaczka pozbawiona była nawet tego skromnego stanowiska u baronostwa, które Piotr uważał za niegodne jej. Pracowała ciężko własnymi rękami i po skończeniu całodzienniej pracy, po zdobyciu nędznego zarobku, wracała na odpoczynek na poddasze.

Ach! Jeżeli naprawdę rzucono na nią oszczerstwo, jeżeli istotnie jest niewinną ofiarą, za jaką ją uważa, jak ciężkie życie musi obecnie prowadzić między wspomnieniami przeszłości a zapowiedzią tak smutnej przyszłości.

Przez chwilę zdawało się Piotrowi, że schwyci ją w swe ramiona i płacząc, będzie prosił o przebaczenie. Na ustach cisnęły mu się słowa, które chciał mówić: „Ludwiko! Wierzę ci! Kocham Cię! Bądź dobrą i zapomnij, że cię zaraz nie obronił! Wstrętni nędznicy chcieli cię zgubić! Pomóżesz mi ich zdemaskować i pomścić się...” Nie poruszył się jednak i nie rzekł słowa. Myśl paraliżowała uczucie.

„Serce me woła, że to dziecko jest męczennicą... — myślał. — Krzyk jednak serca nic nie mówi... Najmniejszy dowód sto razy więcej by znaczył..”

Tymczasem Ludwika powtórzyła:

— Czego pan ode mnie żąda?

Młody człowiek z wysiłkiem odzyskał swą zimną krew i rzekł:

— Troszczą się o ciebie, Ludwiko!

— O mnie się troszczą?

— Ja i mój przyjaciel, Maixent, staramy się wyjaśnić sprawę, z powodu której opuściłaś dom państwa de Lagunan.

— Co to ma znaczyć?

Młoda panna mówiła bezdźwięcznym głosem i z trudem trzymała się na nogach. Zrodził się w niej słaby błysk nadziei.

— Sądźmy — mówił dalej Piotr Carteleque — iż był to uknuty przeciw tobie spisek... Wiele rzeczy pozwala nam domyślać się, że listy, jakie pani de Lagunan znalazła u ciebie, były podrzucone...

— Ach!... — wyrwało się z piersi Ludwika.

Nadzieja rosła. Może uznała jej niewinność! Myśl ta przyspieszyła bicie jej serca. Obie ręce przyłożyła do piersi.

— I przyszedłem — tłumaczył młody człowiek — z prośbą do ciebie, byś nam pomogła... Powiedz, czyś znała tego Karola Turnera?

Przy ostatnim zdaniu Piotra, Ludwika cofnęła się bezwiednie w tył. Nadzieja, której z początku doznała, mieszała się teraz z rozpaczą. Tak, uznają bez wątpienia, że stała się ofiarą jakiejś intrygi, lecz narazie stoi przed swym ukochanym, jak oskarżona.

Widać było, jak Piotr drży z niepewności; był on sędzią, którego męczy żal i niepokój, lecz w każdym razie sędzią, który przyszedł do badania jej. To było nie do zniesienia dla młodej panny.

Piotr tymczasem ciągnął dalej:

— Błagam cię, powiedz nam, jeżeli wiesz cośkolwiek...

— Dosyć, panie! — przerwała z boleścią Ludwika.

Każde słowo Piotra było dla niej bolesnym doświadczeniem. Drżała z przejęcia na myśl, że od tego śledzwa zależy jej honor i szczęście. Nie mogła jednak słuchać tego dłużej. Podobna rozmowa z ukochanym była dla niej najstraszniejszą rzeczą, o jakiej mogła myśleć. Tak się kochała! Tak sobie wzajemnie ufali! A teraz on chce dowodów mających wykazać intrygę, której stała się ofiarą? Nie! To byłoby profanacją ich dawnej miłości! Obecnie mogą przebaczyć sobie wszystko wśród łez, albo też rozejść się w milczeniu. Nie tylko uczucie jej cierpiało. Doiknięta była i w swej dumie kobiecej. Ludwika była bardzo łagodną, lecz zarazem i nieprzystępną dumą. Pierwszą jej myślą obecnie było usunąć się od tego, kto jej nie dowierzał. Wszelkie zaprzeczenia, wszelkie starania wykazania nie-

sprawiedliwości rzuconego na nią podejrzenia, uważała za własne poniżenie. I gdyby taki dowód można było dać jednym słowem! Lecz to było niemożliwe! Jeśliby jednak stanęła przed obcym człowiekiem, przed jakim urzędnikiem, któremu powierzono wyjaśnienie tej sprawy, wtedy możeby mówiła, możeby się broniła. Tłumaczyć się jednak przed Piotrem było to ponad jej siły.

— Dosyć! — powtórzyła. — Proszę o to!

— Cierpisz? — zapytał młody człowiek. — I ja również. Mimo to nalegam dalej... Ten Karol Turner...

— Nic nie mogę panu powiedzieć o Karolu Turnerze — przerwała Ludwika. — Nawet w rozmowie nie słyszałam nigdy o kimś, któryby się tak nazywał... Po raz pierwszy widziałam to nazwisko na listach, o których pan wie...

— Więc go nie znasz zupełnie?

— Zupełnie.

— Staralaś się wytłumaczyć sobie obecność tych tajemniczych listów w swym pudełku?

— Tak, starałam się, lecz bez skutku.

— I nie możesz wyjaśnić zachowania tego człowieka?

— Jakiego człowieka?

— Karola Turnera.

— Jakież zachowanie?

— Wielbiciela, który czuje się w prawie bronięcia ciebie.

— Nic nie rozumiem... — szepnęła Ludwika.

— Pan Turner w czasie rozmowy o tobie przyjmuje zakłopotaną minę, zmienia temat rozmowy, a w potrzebie żąda, by nie wymieniano twego imienia.

— Pan więc widział Karola Turnera? — zdziwiła się młoda panna.

Mimo chęci przerwania tej indagacji, zaczęła jednak sama zadawać pytania.

— Bez wątpienia! — odparł Piotr. — Przed chwilą pojedykowałem się z nim!

— Pojedykował się pan z nim?... — powtórzyła szeptem przerażona Ludwika.

Ta fantastyczna postać stawała się więc rzeczywistością i nastawała na życie tych, których ona kochała. Myśli gmatwały się. Potarła sobie ręką czoło.

Piotr Carteleque mówił dalej.

— Postanowiliśmy więc, Ludwiko, uczynić wszystko możliwe i niemożliwe, by ciebie oczyścić... Ja przyszedłem do ciebie z prośbą, byś była nam pomocną... Czy masz jakie wyrobione zdanie o tem wszystkim?... Może jaką hipotezę nam poddasz?... Może dasz nam jaką pożyteczną wskazówkę?

Młoda panna potrzęsała głową. Wiadomości, jakie jej przyniósł Piotr, zaciemniały jeszcze bardziej tę straszną tajemnicę, z którą napróżno walczył jej rozum. A przytem to bolesne sam na sam już za długo trwało. Uczucie jej, jak i myśl już omdlewało.

— Nie masz nic do powiedzenia? — nalegał młody człowiek.

— Nic — odpowiedziała.

I z przymkniętymi oczami, z twarzą opuszczoną na dół, poszła przez korytarz. Piotr usunął się, by ją przepuścić. Doszła wreszcie do drzwi swego pokoiku i w nich znikła.

Młody człowiek przez chwilę pozostał nieruchomy. Potem schwycił się nagle rękami za skronie, jęknął boleśnie i skierował się na schody, po których zaczął schodzić ciężkim krokiem. O w pół do pierwszej był w fabryce swego ojca i biorąc samochód, polecił urzędnikom w biurze:

— Jeżeli pan Maixent będzie się pytał o mnie, proszę powiedzieć, że będę u niego tak jak przyrzekłem o piątej godzinie.

Potem ruszył szybko naprzód samochodem bez żadnego celu, by w szybkiej jeździe zapomnieć o trapiących go myślach.

Była godzina piąta, gdy pokryty błotem wszedł do skromnego pokoju miljarдера.

— I cóż? — usłyszał zapytanie. — Co przynosisz mi ciekawego?

Piotr odpowiedział na to zniechęconem wzruszeniem ramion.

— Nie widziałeś więc panny Dubois? — pytał dalej Amerykanin.

— Owszem... Lecz nic mi prawie nie powiedziała...

I młody człowiek opowiedział spotkanie swe z Ludwiką.

— Well! — odrzekł Lewis Jackson. — Moje śledztwo lepiej się udało... Byłem naprzód w biurze pocztu przy ulicy Bayen, by zobaczyć, czy nie można czego wyciągnąć od urzędnika, za-

jętego listami poste-restante... Na ogół nie spodziewałem się żadnej tutaj zdobyczy... Urzędnik ten musiałby mieć niezwykłą pamięć, by przypomnieć sobie osobę, która przychodziła po listy adresowane L. D... Tyle ludzi przesuwają się przed jego okienkiem, na które on nie zwraca najmniejszej uwagi... Na szczęście jednak przypomniał sobie i te listy i tę osobę, która jednak miała na twarzy tak gęstą woalkę, iż nie mógł rozróżnić jej rysów...

Lewis Jackson nie wspominał tu wcale, iż to zbieranie wiadomości kosztowało go porządną sumę pieniędzy.

Urzędnik na pierwsze zadane sobie pytanie przyjął miljarдера bardzo ostro, tłumacząc się obowiazkową w swym fachu tajemnicą. Lewis jednak na razie nie nalegał, lecz czekał na niego przy wyjściu i wtedy zdobył go we dwie minuty po amerykańsku. Zdumiony urzędnik oszołomiony grubym pakietem banknotów, które mu wsunęto siłą do kieszeni, uznał się za zwyciężonego i powiedział, co wiedział, choć było to bardzo mało.

— Potem — mówił dalej Lewis Jackson — udałem się do tego pałacyku przy ulicy Godot-de-Maurry, w którym Karol Turner naznaczał rendez-vous Ludwice Dubois... Badałem stróżkę, służącego i pokojówkę... Jak i urzędnik z pocztu nie widzieli oni wcale twarzy przychodzącej damy... Nigdy nie podnosiła woalki w ich obecności... Znali jednak jej postać i ruchy, na które urzędnik nie zwracał żadnej uwagi... Posłałem więc ich na ulicę Laugier, by sprawdzili, czy taką właśnie postać i ruchy ma panna Dubois... Tutaj mają przyjść dać mi odpowiedź... Już idą! Zapukano do drzwi.

Miljarder jednak mylił się. Do pokoju wszedł Mauryce de Terrade.

— Ach, mój drogi — zawołał inżynier, ściskając za rękę Piotra Carteleque'a. — Gdym dzisiaj rano wrócił na miejsce, na którym cię zostawiłem, już cię tam nie było.

— Czekaaliśmy na pana dość długo — odparł miljarder.

— Tak!... Proszę mi to wybaczyć!... Zapomniałem, że czekacie!... Koniec końcem, mój drogi Piotrze, od południa szukam cię wszędzie po mieście... W fabryce powiedziano mi, że będziesz tutaj o piątej godzinie i dlatego przybyłem...

— Masz mi co do powiedzenia?

— Spodziewam się.

Radość oszałamiała poprostu Maurycego. Chciał koniecznie wyznać wszystko przyjacielowi. A nie miał większego i bardziej ukochanego nad króla stu dwudziestu koni. Inżynier przystępował już do zwierzęcia, gdy pukanie do drzwi przerwało mu w połowie słowa.

— Proszę! — zawołał Lewis Jackson.

Ukazał się chłopiec hotelowy. Jak zwykle był długi i wychudzony, jakby przez dzień cały nie jadł i zaspany, jakby przez noc nie zmruszył oka. Wejrzenie jednak miał jaśniejsze i ruchy żywsze. A zwłaszcza nos cienki i blady zgrubiał i nabrał różowego koloru. Dzięki napiwkom miljarдера biedny posługacz zdołał już pokrzepić swe wyniszczone siły.

— Ma pan wizyty! — oznajmił, usuwając się, by przepuścić dwie kobiety i mężczyznę. Potem znikł zaraz za drzwiami.

Jedna z tych kobiet, niska, stara, o wypudrowanej twarzy była dozorczynią pałacyku przy ulicy Godot-de-Maurry. Druga była pokojówką. Mężczyzna był służącym.

Starsza kobieta postąpiła naprzód i kłaniając się z przesadną ceremonialnością, rzekła:

— Sposownie do żądań szanownego pana czekaaliśmy przy bramie domu Nr. 56 przy ulicy Laugier na ukazanie się panny Dubois... Daliśmy stróżce monetę pięć franków, by ją nam wskazała... O w pół do piątej ta młoda osoba wyszła... Widzieliśmy ją a nawet przez chwilę szliśmy za nią...

— No i co? — zapytał flegmatycznie Lewis Jackson.

Piotr uczył, jak serce przestaje w nim bić.

— O! — mówiła dalej dozorczyń pałacyku — panna Dubois nigdy ani krokiem nie postąpiła u mnie. To nie ją przyjmował pan Turner.

— To nie ja! — powtórzyli pokojówka i służący.

— Jesteście tego pewni?

(Ciąg dalszy nastąpi).